

Marian PŁACHECKI: *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)*. Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2009, ss. 543.

Na życie naukowe Mariana Płacheckiego wpłynęła najmocniej decyzja na poły organizacyjna, podjęta przez profesora Janusza Sławińskiego. Tak o niej pisze autor na pierwszej stronie *Wojen domowych*:

otrzymałem „przydział na pozytywizm” w ramach planowanej zbiorowej historii krytyki literackiej w Polsce? Nie było mi do śmiechu. Pozytywizm!? Dlaczego nie romantyzm albo modernizm? Zagryzłem wargi i pomaszerowałem na kilka lat czytać prasę w Bibliotece Uniwersyteckiej.

s. 9

Jasne, że było coś złośliwego w „przydziale na pozytywizm” dla najbardziej błyskotliwego z wychowanków! Ale zarazem coś z wyższej strategii. Jak słusznie zauważa autor *Wojen domowych*, ten moment „przydziału” (bardzo socjalistyczne słowo!) – do którego będę wracał – wraz z echem jego alternatyw („Dlaczego nie romantyzm albo modernizm?”) zdecydował o przyszłości naukowej młodego wówczas polonisty.

W *Przedmowie do Wojen domowych* Płachecki cytuje manifest grupy badaczy, którymi kiedyś kierował, pt. *Białostocki historycyzm* (s. 15–16). Pierwsza teza nawiązuje do lekcji odebranej od strukturalistów: „artykulacja znaczy”. Ale kolejne przesuwają zainteresowania w kierunku historii, lecz nie pojmowanej wzorem strukturalistów jako dzieje artykulacji właśnie, tylko jako „doświadczenie historyczne ludzi z minionej epoki”, które ma być dla badacza „przedmiotem rekonstrukcji”. Rzeczywiście, bliskość tych sformułowań i nowego historycyzmu (o której, trochę żartobliwie, wspomina Płachecki w przedmowie do książki), nowego historycyzmu w wydaniu na przykład Franka Ankersmita, jest uderzająca (do czego jeszcze wrócę).

Zatem porządek egzegezy ulega odwróceniu: to nie kontekst żywej komunikacji, historycznie zapisanej, rozświetla sensy

dzieła literackiego, ale przeciwnie, dzieło rozświetla swój kontekst. Teza 3:

Likwidujemy Arcydzieła. Dzieło jest bądź nie jest wartościowe ze względu na swój walor historycznokulturowy. Liczy się to, jak dalece rozświetla swój kontekst – a nie miary czysto estetyczne.

s. 15

Stąd nowa definicja literatury, pojmowanej tutaj jako „słowo publiczne” czy „słowo w obiegu publicznym”. Płachecki pisze w manifestie: „literatura – szerzej zaś słowo publiczne”, „literatura – słowo w obiegu publicznym”, „literatura jest tylko szczególną odmianą słowa publicznego” (s. 15), co prowadzi do ostatniej tezy parafrazującej pierwszą:

Artykułacja w a ż y. Literacka – wcale nie więcej aniżeli publicystyczna, polityczna, sądownicza. Nie więcej niż moja czy twoja.

s. 15

W praktyce oznacza to rozszerzenie hermeneutyki literaturoznawczej na wszelkiego rodzaju artykulacje, co znosi strukturalistyczną tezę o literaturze jako „uporządkowaniu naddanym”. Kryje się tutaj także przeświadczenie o przydatności, a nawet może niezbędności aparatu wytworzonego na użytek literatury do badań słowa publicznego (a więc: wszelkiego). Kłania się Hayden White.

Do tego miejsca białostockie tezy zbiegają się z nowym historycyzmem, ale inwencja Płacheckiego idzie w osobliwym kierunku, związanym z własnym „doświadczeniem” badacza – zarówno lekturowym („pomaszzerowałem na kilka lat czytać prasę w Bibliotece Uniwersyteckiej” – s. 9), jak i biograficznym: życia w kraju niesuwerennym. Tego rodzaju myślenie w kategoriach ciągłości doświadczenia historycznego przebija się raz po raz spod narracji historycznej Płacheckiego, stanowiąc gest przekroczenia różnicy między sytuacją opisywanego świata a światem rozpoznawanym we własnym doświadczeniu opisującego podmiotu, gest w swej synchronizacji czasów zarazem anachroniczny.

Czytamy na przykład wypowiedź Świętochowskiego z roku 1872 i następujący komentarz do niej w przypisie:

Ten sam ideał inżynierii społecznej (w pewnym zakresie motywowanej analogicznymi intencjami wobec świeżej tradycji powstania warszawskiego) przyświecał zetatyżowanym praktykom wychowawczym, wprowadzonym przez władze

w latach realnego socjalizmu w Polsce. Pedagogika społeczna tych lat trzymała się ściśle zasady krótko a dobitnie wyrażonej o osiem dekad wcześniej przez Świętochowskiego.

s. 329, przypis 353

Zasadniczy problemat rozprawy Płacheckiego *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)* zawiera się pomiędzy dwiema, dla niego podstawowymi, kategoriami: jedną, jak sam autor wskazuje, wywiedzioną ze strukturalizmu, wspominaną przed chwilą kategorią artykulacji, oraz drugą, która najbliższa jest refleksji poststrukturalistycznej, w wydaniu, powiedzmy, na przykład Lyotarda, Ankersmita, Jaya, a mianowicie kategorią doświadczenia.

Mówię o owych poststrukturalistycznych parantelach „doświadczenia” w książce Płacheckiego, bo jest ono, niczym wzniosłość i trauma Ankersmita, nieosobowe, dysocjacyjne, w zasadniczy sposób przeciwstawne prawdzie jako temu, co jest posiadane poprzez tożsamość historyczną. I – jako takiego – trzeba go szukać nie tyle na powierzchni artykulacji, ile właściwie jakoś „pod” nią, odwracając ją na nice, nicując w podwójnym tego słowa znaczeniu: wywrócenia na drugą stronę i unicestwienia. Gdyż między doświadczeniem, jak je pojmuje Płachecki, a artykulacją, którą poddaje oglądowi, nie ma bezpośredniej relacji, powiedzmy, reprezentacji. Artykulacja nie tylko nie reprezentuje doświadczenia, ale, przeciwnie, całkowicie je przesłania. Tak to notuje autor recenzowanej książki:

antropolog słowa publicznego zostaje z tekstem prasowym czy dziełem literackim sam na sam, ślepy, głuchy i związany.

s. 126

Antropologowi słowa publicznego nic zatem nie jest dane bezpośrednio. Używając mylącej w tym kontekście kategorii „samoświadomości” zamiast kluczowej dla badacza kategorii doświadczenia (słowo „samoświadomość” bowiem jest tutaj słowem zaczerpniętym z rozważań Nikodema Bończy-Tomaszewskiego i użytym w dialogu z nim), pisze Płachecki, że

równie rzadko badacze dostępują szansy takiego odczytania w świadectwach samoświadomości danej epoki, które by im pozwoliło prawidłowo samoświadomość tę i jej obiekt rozpoznać. Wszystko, co o „danej epoce” jest do powiedzenia, zostało powiedziane w niej samej. Co prawda nie zawsze dokładnie tam, gdzie w jej zasobach szukamy trafnej formuły, ale – czasem – za miedzą, za rzeką, za kordonem albo

za górami i morzem. Interpretacja jest najpierw kwestią atrybucji, polotu potem.

s. 456, przypis 3

W konkretnym, interesującym autora, przypadku trudność jest o tyle większa, że pamięć doświadczenia, którego poszukuje badacz, określonego tym razem słowami „etnografia codzienności”, uległa – to jego ulubione słowo – tabuizacji:

pamięć o „etnografii codzienności” lat 1860–1864 pozostała zatrzaśnięta w domenie patriotycznego czy też dydaktycznego tabu.

s. 458

Uderzające, jak w pewnym momencie tekst Płacheckiego zbliża się (mimowolnie i, by tak rzec, kongenialnie) do metaforyki Ankersmita, kiedy ten myśliciel mówi o swoistości doświadczenia oraz o rozdźwięku między dyskursem prawdy a ujawnianiem – poprzez swego rodzaju „nerwy”, jakimi są poeci, pisarze i historycy – doświadczenia, biorąc za jego przykład (zaczepnięty zresztą od Wittgensteina) jęk bólu.

W takim przypadku rozdźwięk pomiędzy doświadczeniem a prawdą i językiem dotyczyłby także tego, co ci „rozentuzjzmowani” (wydaje się, że w tym kontekście jest to najodpowiedniejszy przymiotnik) poeci, pisarze i historycy mówią o swojej cywilizacji¹.

Otóż jęki owe miałyby być „tekstem, w którym cierpienie, nastroje i uczucia tej cywilizacji same się wypowiadają”. Ankersmit pisze:

Owe jęki mogą przemówić do nas z niezrównaną mocą i intensywnością i być postrzegane w *basso continuo* z towarzyszącym mu tym, co dana cywilizacja myśli i w jaki sposób działa.

A teraz Płachecki, który odwołuje się do zasadniczego dla swych poszukiwań fragmentu własnej monografii, zatytułowanego właśnie słowem: *Nerwy*. Cytuję:

Rozdział całości niniejszej, zatytułowany *Nerwy*. *Dekadentyzm południa wieku* stawia tezę, w myśl której pewna wygaszona (i bez litości, acz bezskutecznie też wygaszana w początkowym dwunastoleciu postyczniowym) ciemna, prywatna i rozpaczliwa nuta jest od samego początku stałą komponentą

1 Trzy kolejne cytaty z Ankersmita za:

F. ANKERSMIT: *Gadamer i doświadczenie historyczne*.

Przeł. P. AMBROŹY. W:

F. ANKERSMIT: *Narracja, reprezentacja, doświadczenie*.

Studia z teorii historiografii.

Red. i wstęp E. DOMAŃSKA.

Kraków 2004, s. 252.

pozytywistycznego *tutti*. Nuta owa, nietrudno się domyślić, to zduszona, stabuizowana, prześladowana przez władze Królestwa, niezatarta pamięć powstania. Dokładniej: przedwerbalne *residuum* pamięci powstania.

s. 479

Pod wpływem wojny wschodniej 1877–1878 (pisze dalej Płachecki)

Dekadentyzm południa z odległej, ciemnej nuty przeobraził się w *basso continuo* dyktujące warunki pozostałym głosom orkiestry, coraz gorzej zresztą zharmonizowanym, coraz jawniej agresywnym i dyrygentowi wrogim.

s. 481

Zbieżności między myśleniem, a także dyskursem, Ankersmita a myśleniem i dyskursem Płacheckiego są w tym miejscu uderzające i – powtarzam – w tym tylko sensie (kongenialnie) przypadkowe, że nie stanowią jakiejś filiacji. Potrzebne mi będą w roli *tertium comparationis* dla zasadniczej rozbieżności między myśleniem a praktyką obu historyków, o której powiem za chwilę.

Aby zatem do tak określonego doświadczenia historycznego, do owego *basso continuo* dotrzeć, trzeba, jak to ujmuje Płachecki, dokończyć swoistej „preparacji”. Bo

W rzeczywistości tu opisywanej żadne, najgłębsze spotkanie nie było spotkaniem po prostu. Żadna rozmowa nie była rozmową o tym, o czym się mówiło.

s. 90

Konkluduje więc autor, że trzeba tu pewnej „techniki zbierania danych” (s. 126), przeciwstawianej zresztą narratywizmowi (*nota bene* właśnie Ankersmita definiuje się jako narratywistę), który „z rzadka jedynie i marginalnie uwzględnia językową czy artykularyjną fakturalność narracji ujmujących doświadczenie historyczne” (s. 126, przypis 3). A „podmiotowej i społecznej relatywizacji przekazu wyjątego z zasobów dziedzictwa” nie da się uchwycić „bez brudzenia rąk niuansami artykulacji” (s. 126, przypis 3).

Figura pobrudzonych rąk jest o tyle trafna, że towarzyszy jej przekonanie o nieuniknionej „preparacji”:

Dopiero zestawione z kontekstem historycznym s p r e p a -
r o w a n y m, zrekonstruowanym, lecz zrekonstruowanym
interesownie, teksty danej epoki mogą nam odsłonić swoje
historyczne znaczenia i funkcje.

s. 126, przypis 3

W innym miejscu autor nazywa tę technikę „interpretacją wahadłową, kontekstową, krążącą pomiędzy tekstami różnego autoramentu” (s. 315). Na tej właśnie zasadzie podstawowym źródłem, w którym autor szuka śladów polskiego doświadczenia, są „siedmice” Pawliszczewa, cotygodniowe raporty policyjne, które dotąd czytano jako zapis doświadczenia drugiej strony.

Identycznie czyni Płachecki, wyczytując owo doświadczenie z powieści tendencyjnej, którą dotąd czytano jako projekcję „nowego, wspaniałego świata” na usługach ideologii pozytywistycznej. Płachecki czyta powieści tendencyjne w drugą stronę – przeciw pozytywizmowi. Dokonuje tu zresztą dosłownie „preparacji”, zmieniając na przykład w cytatach z powieści Bałuckiego słowo „Żyd”, „Żydek”, „żydostwo” na „Polak”, „Polaczek”, „polactwo” (to ostatnie sformułowanie, spod znaku rodła i z publicystyki Ziemkiewicza, zostało anachronicznie przesunięte wstecz). Oto usprawiedliwienie Płacheckiego:

Tak pomyślany zabieg wbrew pozorom nie jest bezsensownym nadużyciem. Spreparowane w ten sposób partie oryginału pokazują w nim coś, co umyka lekturze naiwnej.

s. 405

Inaczej ta „preparacja” określona została przez autora jako „przesunięcie semantyczne”. Zacytuję dłuższy wywód Płacheckiego, który objaśnia owo przesunięcie:

Zasada przesunięcia semantycznego obowiązuje w całej niemal powieści tendencyjnej [...]. Postać gatunkowa sztywna i prosta [...] nadawała się doskonale do pokątnego, semantycznie przesuniętego, adresowanego do lektury podprogowej sugerowania diagnozy społecznej odwołującej się do treści niechcianych, trudnych do przełknięcia, wielorako stabuizowanych.

s. 406

Zatem w wyniku preparacji odczytujemy na przykład *Martę Orzeszkowej* poza zasadniczą w dotychczasowych interpretacjach „kwestią kobiecą”. Kwestia ta – zdaniem Płacheckiego – intencjonalnie „przesłania” faktyczny zapis, jaki skrywa autorka, która

dotykając stabuizowanych pól postyczniowej świadomości potocznej, wpisuje je w semantykę powieści.

s. 431

Krytykom i historykom literatury, którzy tego palimpsestu nie dostrzegli, dostaje się od autora za „krytycznoliteracki proceder zawłaszczania oponenta” (s. 448) albo za to, co najmniej, że są „ufa-jący naiwnie mimetycznej koncepcji literatury” (s. 407). Zwłaszcza ten ostatni zarzut jest dwuznaczny, bo postawiono go właśnie w imię mimetyzmu. Przytoczoną opinię krytyczną otwiera stwierdzenie, że:

Powieść tendencyjna nie odrywała się od rzeczywistości. Wprost przeciwnie, mocno się w nią wczepiała – tyle że inaczej niżby chcieli tego krytycy.

s. 407

I w końcu inny zabieg preparacyjny polega na tym, aby „wypełnić puste miejsca narracji” (s. 414). Jest to praktyka czytania opisywana już przez badaczy (na przykład Annę Martuszewską w jej studium o języku ezopowym).

Zreasumujmy: „preparacje” Płacheckiego korzystają z technik czytania już znanych (na przykład czytanie luk w *Lalce* przez Ewę Paczoską), ale je znacznie intensyfikują. I – trzeba przyznać – efekty tych prac przynoszą bardzo ciekawą rekonstrukcję doświadczenia „cywila” w „teatrze powstania”, w momencie owej upiornej, tytułowej „wojny domowej”, która przynosi jakąś totalną dyssocjalizację, anomię, minuityzację, upodabnianie się działań powstańczych do zaborczych, zamieniając *Priwisłjenje* w „wieloetniczny ściek”, „bagnó etniczne” (s. 469). A skutki tego wszystkiego trwają do dzisiaj.

Czytając te napisane z pasją rekonstrukcje ocyfrowanego w *basso continuo* doświadczenia, wciąż myśli się o jednym: o nieodzowności studzenia *liberum conspiro*, o nieodzowności pozytywizmu jako formacji do bólu trzeźwej. Gdyby pozytywizmu nie było, to czytając książkę Płacheckiego, należałoby pozytywizm wymyślić.

Tymczasem powstanie (używam skrótu, mając na myśli także przedpowstaniowe manifestacje) pozostaje w ujęciu autora w owym anomicznym, pozbawiającym tożsamości świecie doświadczeniem „wyzwolenia”. Manifestacje, stanowiąc „spazm wspólnoty” (s. 104), „uczestnictwo w uświęconym tradycją i wiarą wspólnotowym r y t u a l e” (s. 95), są zarazem:

w y z w a l a n i e m poczucia fizycznej współobecności wobec *sacrum*. W świecie, w którym byle pretekst administracyjny, jeśli nie wręcz osobisty kaprys osoby wyżej postawionej, umożliwiał swobodne wyjmowanie jednostki z jej macierzystego bądź wybranego miejsca i przestawienie jej do innego miasta, regionu, państwa, to bezpośrednio doznanie współobecności musiało przywracać ludziom poczucie

zakorzenia, nieusuwalności, wrośnięcia w tu i teraz stanowczo obrane.

s. 95, podkr. – K.K.

Udział w walce bezpośredniej, partyzanckiej, z tego czyśca w y z w a l a ł. [...] W lesie każdy był sobą.

s. 91, podkr. – K.K.

Z tej perspektywy powstanie, manifestacje patriotyczne są rzeczywistym doświadczeniem wspólnotowym, pozytywistyczna oferta „pracy organicznej” odwołuje się zaś do Andersonowskiej wspólnoty wyobrażonej, budując „wydzieloną ścieżkę życia obok życia”. Zatem to baudrillardowskie *simulacrum*, przypominające okupacyjne „życie na niby” Kazimierza Wyki.

Jest moment w narracji Płacheckiego, w którym cały ten splot ujęty został w perspektywicznym skrócie, znów z odwołaniem do anachronicznego narracyjnego „my”. Cytuję:

„Ekran, na którym mającą cienie postaci i wydarzeń aktualnych, stanowi własność odziedziczoną wszystkich ofiar. Jeśli coś im – czyli: nam – płótno ekranu rozedrze, czym prędzej, spłoszeni, rozpinają nowe i znów trwają w nie wgapieni. I tak cykl się powiela od powstania, które siłą rzeczy świat im obnaża w nagiej prawdzie, do następnego powstania.

s. 326–327, podkr. – K.K.

Tę wypowiedź ekstrapoluje autor z felietonów Świętochowskiego, dla którego ekranem jest, skracam, pielęgnacja martyrologicznego patriotyzmu, określona właśnie jako „majaczenie”, lecz w jakimś stopniu słyszymy tutaj mowę pozornie zależną, oba głosy się mieszają i nie wiadomo, kto mówi i co chce powiedzieć.

Jeśli dobrze rozumiem, to intencja Świętochowskiego jest intencją zerwania ekranu, ale tym razem nie przez powstanie, a przez naukę. Jednak – powiada Płachecki – w praktyce owa nauka też jest ekranem, też jest „majaczeniem”. Cytuję:

Drukowane po tygodnikach organicystyczne m a j a c z e n i a młodej inteligencji podnosiły jej prestiż we własnych oczach.

s. 446, podkr. – K.K.

Nic więc dziwnego, że pozytywizm „poczyna ulegać erozji, zanim jeszcze na dobre się ukształtował” (s. 446, przypis 176). Że, właściwie, nigdy go nie było.

A co było? Był paradygmat:

Paradygmat polskiego pozytywizmu postyczniewego jako szlachetnej mobilizacji społeczeństwa do wspólnego sprzątania gruzów, paradygmat obowiązujący także w historyczno-literackich pracach pokolenia następnego, jest dziełem ludzi, których bym nazwał pokoleniem 1944. Sprawdzać czystość intencji Adama Wiślickiego czy Aleksandra Świętochowskiego z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku znaczyłoby podważać ją także w odniesieniu do własnej młodości.

s. 451

I choć autor w pewnym momencie podkreśla brak potrzeby „lustracyjnego fanatyzmu” (s. 189), w tym miejscu go jednak wykazuje. Wykazuje, moim zdaniem, mimowolnie, chyba bez złych intencji.

Na potrzeby dalszego wywodu muszę wrócić do Ankersmitowskich parantel badań Płacheckiego. Jak pamiętamy, Ankersmit postawił obok siebie, mówiąc skrótowo, „dyskurs prawdy” oraz „p o j ę k i w a n i a danej cywilizacji”, zawarte we wspólnej obu autorom figurze *basso continuo*, w figurze doświadczenia. Cytuję raz jeszcze i przedłużam cytat:

Owe jęki mogą przemówić do nas z niezrównaną mocą i intensywnością i być postrzegane w *basso continuo* z towarzyszącym mu wszystkim tym, co dana cywilizacja myśli i w jaki sposób działa. Oznacza to raczej – pisze dalej Ankersmit – że nie powinniśmy tych pojękiwań interpretować j a k o c z e g o ś, c o m ó w i o c z y m ś i n n y m, a zatem jako prawdziwego stwierdzenia, które mówi o pewnym faktycznym stanie rzeczy. Powinniśmy je brać dokładnie za to, czym są w istocie, czyli za jęki danej cywilizacji, za tekst, w którym cierpienie, nastroje i uczucia tej cywilizacji same się wypowiadają².

2 Ibidem.

Wydaje mi się, że lustracja „paradygmatu polskiego pozytywizmu”, dokonywana z niezwykłą determinacją przez Mariana Płacheckiego, popełnia ów błąd interpretowania rekonstruowanego doświadczenia historycznego jako czegoś innego, błąd, o którym mówi Ankersmit. Czyli Płachecki podstawia doświadczenie w miejsce tego, „co dana cywilizacja myśli i w jaki sposób działa”, a co zostało żmudnie i z sukcesem ustalone przez badaczy budujących „paradygmat polskiego pozytywizmu postyczniewego”.

Jedną z najczęściej stosowanych przez Płacheckiego „preparacji”, której nie waham się nazwać manipulacją, czy nawet insynuacją,

a którą przytoczę tu na zasadzie *pars pro toto*, jest stawianie znaku równości między anonimowym tekstem (przypisywanym politykowi związanemu z Wielopolskim, Kazimierzowi Krzywickiemu) *Polska i Rosja w 1872 r.*, o którego rzekomym autorze przytacza Płachecki historyczne głosy, że „Tacy ludzie powinni być wyrzuceni ze społeczeństwa. Każdy drzwi przed nimi zamykać powinien, uważać ich jak zapowietrzonych” (s. 218), a wypowiedziami niekwestionowanego przywódcy pozytywistów, Aleksandra Świętochowskiego. „Renegacka broszura” zostaje, zdaniem Płacheckiego, rozpisana przez „Świętochowskiego, utalentowanego młodzieńca” – „na tysiąc wierszy miesięcznie” (s. 378). Co więcej, Krzywickiego „pokusa kapitulacji przed rosyjskim panslawizmem pozostanie aktualna bodajże do roku 1989” (s. 183).

Dziwnym trafem indeks nazwisk nie oddaje tej wszechobecności Kazimierza Krzywickiego w książce (brak w indeksie przy tym nazwisku stron: 183, 191, 204, 218, 221, 232, 234, 242, 243, 244, 255, 256, 323, 327, 339, 343, 349, 357, 369, 371, 374, 375, 378, tylko 7 stron odnotowano). Tak czuły na kontekstowość znaczeń autor w podobnych przypadkach narusza, moim zdaniem, przyjęte przez siebie reguły.

Mimo woli przypomina się tutaj, wspomniany przez Płacheckiego we wstępie, moment zwrotny w życiu naukowym autora, kiedy dostał on „przydział na pozytywizm”. Cytuję:

Nie było mi do śmiechu. Pozytywizm!? Dlaczego nie romantyzm albo modernizm?

s. 9

I chciałoby się zapytać, czy teraz jest autorowi do śmiechu, kiedy (jak się domyślam, w mniemaniu badacza) udało mu się wykazać, że w pozytywizmie zamiast pozytywizmu jest modernistyczny dekadentyzm obok romantycznej tęsknoty za *liberum conspiro*, a rzekomy pozytywizm to „pokusa kapitulacji przez rosyjskim panslawizmem”. A zresztą pozytywizmu w ogóle nie było albo zaczął „ulegać erozji, zanim jeszcze na dobre się ukształtował” (s. 446), a pozytywistom słusznie zarzuca się „fragmentację i rozbicie świata polskiego” (s. 471). Świętochowski okazuje się zarazem „doprawdy ślepy, głuchoniemy, cierpiący na autyzm” (s. 371) wobec rzeczywistości polskiego doświadczenia popowstaniowego i kolaborantem piszącym manifesty, których

pomysł [...] w niczym nie kolidował z realizowaną przez administrację Królestwa strategią władzy obcego.

s. 374

3 F. ANKERSMIT: *Wprowadzenie do wydania polskiego*. Przeł. E. DOMAŃSKA. W: F. ANKERSMIT: *Narracja, reprezentacja, doświadczenie...*, s. 42.

Odpowiadając na pytanie, „co czyni narrację historyczną lepszą i mocniejszą od innej”³, Ankersmit odwołuje się do jej dwoistości:

narracja historyczna należy w istocie do dwóch dziedzin: o tyle, o ile składa się ze zdań opisujących przeszłość, należy ona do dziedziny prawdy literalnej o tym, co można powiedzieć o świecie za pomocą zdań prawdziwych; rozważana zaś jako całość, należy [...] do dziedziny metafory. Wynika z tego, że im bardziej obcy jest poziom metaforyczny w stosunku do wymiaru literalnego, tym lepsza jest narracja jak o narracja. [...] Miara sukcesu narracji ujawnia się, gdy sugeruje ona ujęcie przeszłości, które nie może zostać zredukowane do tego, co na temat przeszłości mówi literalnie. [...] Innymi słowy: najlepsza narracja historyczna to taka, gdzie proponowane ujęcie całości jest najlepiej wyrażone. Jest to również narracja najbardziej ryzykowna i odważna⁴.

4 Ibidem, s. 43.

Wojny domowe Mariana Płacheckiego stanowią – w tym sensie – narrację i najlepszą, i najbardziej ryzykowną, i najbardziej odważną. Skuteczność książki w naruszaniu utrwalonych dotąd narracji jest zapewniona. Ankersmit ostrzega wszak, że

historyk, który wykorzystuje zdania prawdziwe, by proponować wizję przeszłości, której one nie wspierają, ryzykuje powiedzenie czegoś, co nie zgadza się z samą przeszłością⁵.

5 Ibidem.

Przynajmy sprawiedliwie, że owo ryzyko „powiedzenia czegoś, co nie zgadza się z samą przeszłością”, jest przez autora *Wojen domowych* poddawane rzetelnej kontroli, że należy ono do sfery hipotez, przypuszczeń, domysłów, a nie do sfery konstatacji. Że, mówiąc krótko, autor nigdy nie opuszcza pola rzeczywistych dyskursów, choć niekiedy ulega pokusie ich nadmiernego może „preparowania”. W zamian daje oszałamiające studium „teatru powstania”, studium, jakiego dotąd w naszej historiografii nie mieliśmy. Może to osiągnąć, posługując się świetnie przyswojoną wiedzą socjologiczną, historyczną, kulturoznawczą, antropologiczną, lingwistyczną, teoretyczno- i historycznoliteracką. Jeśli ze stanowiskiem autora polemizuję, to dlatego, że, jak starałem się pokazać, usiłuje on zastąpić zrekonstruowanym przez siebie doświadczeniem – po Ankersmitowsku traumatycznym i wzniosłym – coś, co „dana cywilizacja myśli i w jaki sposób działa”, sprowadzając to do „organizacyjnego majaczenia młodej inteligencji”. W moim mniemaniu tej substytucji dokonywać nie można i nie należy, a znakomicie zrekonstruowane przez Płacheckiego doświadczenie historyczne pozostaje owym *basso continuo* „coraz gorzej [...] zharmonizowa-

nym, coraz jawniej agresywnym i dyrygentowi wrogim” (s. 481), co wcale przecież nie oznacza, że właśnie, jak by można pomyśleć, ono owego dyrygenta zastępuje.

Krzysztof Kłosiński

Hollow *Basso* of Experience

Summary

The review is a polemic with the scrutiny of a Positivist paradigm by Marian Płachecki in his *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)*. Płachecki states that there was no Positivism. Krzysztof Kłosiński is critical towards this thesis, pointing to a crucial error by the monograph author – using experience as a substitute for “what any given civilization thinks and how it works”, something that has been laboriously and successfully established by researchers building the “paradigm of Polish Positivism after the January Uprising”.

Krzysztof Kłosiński

Un *basso* sourd de l'expérience

Résumé

Dans son compte rendu, l'auteur entre en polémique avec la « lustration » du paradigme positiviste, réalisée par Marian Płachecki dans *Wojny domowe. Szkice z antropologii słowa publicznego w dobie zaborów (1800–1880)* [*Guerres civiles. Croquis anthropologiques de la parole publique à l'époque des partages (1800–1880)*]. Płachecki cherche à convaincre que le positivisme n'a jamais existé. Krzysztof Kłosiński critique cette thèse, en indiquant l'erreur dans la monographie de l'auteur consistant à substituer une expérience à ce qu'« une civilisation donnée pense et à la façon dont elle agit », et à ce qui a été instauré laborieusement et avec succès par les chercheurs élaborant « le paradigme du positivisme polonais après l'insurrection de janvier ».